



**Białe  
szum**

**AGATA  
CZYKIERDA-GRABOWSKA**

**beYA.**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Adrian Matuszkiewicz

Redakcja: Dominika Bronk

Korekta: Dominika Radkowska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/biaszu>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-8322-035-2

Copyright © Agata Czykierda-Grabowska 2024

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

## Igor

Mówi się, że śmierć w wyniku utonięcia jest jedną z najspokojniejszych. Owszem, najpierw przychodzi panika. Gdy nie możesz złapać oddechu, a twoje płuca i oskrzela zalewa woda, próbujesz krzyczeć, ale to tylko pogarsza sprawę. Po chwili jednak przestajesz walczyć, bo twoim ciałem zaczyna rządzić wszechogarniająca euforia. Nic już nie sprawia bólu. Przestajesz się dusić i zwalczasz odruch zaczerpnięcia powietrza. Tuż przed śmiercią otaczają cię błoga cisza i spokój. Otacza cię biały szum. I następuje koniec. Cichy i spokojny. Zapadasz w sen.

To nie tylko pogłoski. To prawda. Wiem o tym, bo sam tego doświadczyłem. Mimo to nie umarłem. Nie cały.

Spojrzałem w błękitne niebo bez ani jednej chmury, która by zakłócała tę harmonię.

Woda sięgała mi już do pasa. Zawsze gdy wydawało mi się, że już dłużej nie dam rady, wchodziłem do morza i powtarzałem swoją modlitwę.

*Dowiem się prawdy. Przysięgam.*

Chłodny wiatr zapierał dech w piersiach, a zimne fale smagały boleśnie. Nie mogłem się jednak poruszyć, bo to stanowiło część rytuału.

Zamknąłem oczy i na chwilę stałem się częścią wody. Morza. Oceanu. Otoczył mnie biały szum.

## Prolog

Mocne szarpnięcie wyrwało go z płytkiego snu, do którego przez kilkadziesiąt minut kołysał go stukot pociągu. Wyrzwał przez okno, żeby sprawdzić, gdzie się zatrzymali. Zapomniana przez Boga stacja w szczerym polu. Same pola, lasy i jakiś mały, szary budynek poczekalni.

Po kilku minutach pociąg ponownie ruszył.

Wiktor miał wrażenie, że boli go każdy mięsień i każda kość, co było wynikiem spędzenia kilku godzin w jednej pozycji. *Że też musiałem trafić na ten pieprzony skład z przedziałami i chujowymi fotelami*, pomyślał, rozmasowując dłonią kark.

Zerknął na zegarek. Dochodziła szósta rano. Jeszcze tylko trzy godziny i będzie na miejscu.

Podeksycytowany, podniósł się z pozycji półleżącej i uśmiechnął do siebie. Wyciągnął telefon i – tak jak się spodziewał – znalazł w nim kolejną wiadomość. Dostał ich kilkanaście podczas tej niekończącej się podróży. Wszystkie od jednej osoby. Jeszcze chwila i nareszcie się zobaczą.

Wiktor opadł plecami na siedzenie i jego spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem dziewczyny, z którą od pewnego momentu dzielił przedział. Posłała mu uśmiech, a on zdał sobie sprawę, że robi dokładnie to samo, tylko w jego przypadku było to efektem otrzymanej wiadomości.

Mimo to nie odwrócił od współpasażerki wzroku. Miała przyjemną twarz o wielkich szarych oczach ukrytych za dużymi okularami i popielate blond włosy związane w kitkę. Zawstydzona, spuściła oczy i zajęła się swoim telefonem.

Wiktor utkwiał spojrzenie w szybie, ale zdawał się niczego nie widzieć – pól, lasów i zielonych pastwisk. Niczego z wyjątkiem twarzy, która śniła mu się po nocach. Pięknej twarzy. Zamknął oczy i próbował

znowu zasnąć, ale bezskutecznie. Za bardzo się jarał tym, co się miało wydarzyć za kilka godzin.

Tylko jedna rzecz cały czas była mu kulą u nogi. Jego brat, Igor. Musiał z nim pogadać po powrocie, o ile Wiktor zdecyduje się na powrót. W przeciwnym razie będą musieli porozmawiać telefonicznie. Nie miał pojęcia, jak jego brat zareaguje na tę wiadomość. Chyba niczego nie podejrzewał. Igor był dla Wiktora najbliższą osobą na świecie, jedyną, za którą oddałby swoje życie. Ale bał się jego oceny, a już najbardziej bał się rozczarowania w jego oczach. Z tym byłoby mu trudno się pogodzić, ale nie mógł już dłużej wszystkich wokół okłamywać. Robił to bardzo dobrze, musiał to sobie przyznać. Ale z tym koniec. Kiedyś to musiało nastąpić i właśnie teraz nadszedł na to najlepszy czas.

Ponownie przymknął oczy i niedługo znów zapadł w lekki sen.

# 1.

Nie potrzebowałam budzika, żeby wiedzieć, że już czas wstawać. Budziłam się sama, co nie oznaczało, że byłam wyspana. Po prostu mój organizm już tak się przyzwyczyił do codziennej rutyny, że reagował bez mojej woli.

Zwlekłam się od razu z łóżka, bo jeśli bym tego nie zrobiła, mogłabym znowu zasnąć, a pobudka po drugim przyśnięciu okazywała się dla mnie ciężkim przejściem.

W pierwszej kolejności musiałam wziąć prysznic, bo cała wręcz się lepiłam od potu. Od tygodnia panowały ponad trzydziestostopniowe upały, które przywiodły chmurę wczasowiczów. Powinnam się z tego cieszyć, bo im więcej turystów, tym większy zarobek, ale to oznaczało też mnóstwo interakcji z ludźmi, których szczerze nienawidziłam.

Nasze pokoje wynajmowali różni ludzie. Najbardziej nie znosiłam hałaśliwych rodzin i chłopaczków z miasta, którzy przyjechali się zabawić za kasę rodziców. Ci pierwsi dawali mi w kość swoimi roszczeniowymi „prośbami”, a ci drudzy doprowadzali mnie do szału chamstwem i postawą „jestem królem świata”.

Po każdym sezonie byłam wypompowana fizycznie i psychicznie. Ten rok nie miał się przedstawiać inaczej. Jedyne pocieszenie stanowiła kasa. Kasa, którą wczasowicze zostawiali hojnie i bez zastanowienia. To jedyna zaleta posiadania nadmorskiego pensjonatu.

Ciepły prysznic podziałał na mnie kojąco. Zmyłam z siebie niewyspanie i mogłam stawić czoła kolejnemu dniowi. Ubrałam się w spodenki i bawełnianą koszulkę na ramiączkach, a włosy związałam w wysoki koński ogon.

Zajrzałam do pokoju Marceliny. Spała jak zabita z rozłożonymi na boki rękoma i nogami podwinętymi niczym rozplaszczona żaba. Uśmiechałam się na ten widok. To dziecko nigdy nie miało dość snu i zawsze z trudem wyciągało się ją z łóżka. Całe szczęście, że zaczęły się wakacje i nie musiałam zrywać jej z wyrka.

*Śpij sobie*, pomyślałam z czułością.

Moja bratanica miała dziesięć lat i była moim ulubionym człowiekiem na całym świecie. W każde wakacje i wolne od szkoły pomieszkiwała ze mną i mamą. Jej ojciec, a mój brat, po rozwodzie wynajął mieszkanie w Gdyni. Jego uroczą była małżonka spędzała już dwuletni urlop na Malcie ze swoim obecnym mężem, który według relacji Andrzeja, mojego brata, stanowił główną przyczynę ich rozwodu.

Andrzej często wyjeżdżał w celach służbowych, dlatego mała zostawała pod naszą opieką. To, że kochałam Marcelę, było oczywiste, w końcu łączyły nas więzy krwi, ale też, co już wcale nie musiało być oczywiste, bardzo ją lubiłam. Była bystrą chłopczycą, która nie bała się życia. Mimo tego, co spotkało ją ze strony matki, nie popadła w rozpacz i nie straciła swojej wrodzonej iskry. Wydawała się do mnie bardzo podobna. I chyba właśnie dlatego darzyłam ją takim uwielbieniem.

Zbiegłam na dół do kuchni, gdzie zastałam mamę już na nogach. Sądząc po jej energicznych ruchach i bałaganie w pomieszczeniu, nie spała od jakiegoś czasu. Smażyła racuchy, a w międzyczasie nakładała do małych porcelanowych pojemniczków słodką śmietanę, dżem brzoskwinowy i mus z kandyzowanych owoców. Na kuchence w garnku pełnym wody podskakiwały jajka w skorupkach.

– Cześć – przywitałam się i sięgnęłam do lodówki po wodę. – Co tak wcześniej?

Zazwyczaj śniadania serwowaliśmy od ósmej, a minęła właśnie siódma.

– Ta rodzina z trójką dzieci poprosiła o wcześniejsze śniadanie. Gdzieś tam jadą zwiedzać czy coś. – Mama machnęła szpatułką w powietrzu, dając tym do zrozumienia, że mało ją obchodzą plany wczasowiczów.

Westchnęłam i wyciągnęłam z kosza na owoce cytrynę.

– Dzisiaj przyjeżdża trzech chłopaków – przypomniała. – Trzeba posprzątać ten ostatni pokój.

– Jasne – odpowiedziałam i wycisnęłam sok do szklanki z wodą mineralną.

Razem z mamą prowadziłyśmy dom wczasowy z ośmioma pokojami do wynajęcia. Trzy czteroosobowe i dwa trzyosobowe. Każdy z możliwością dostawienia dodatkowego łóżka. Na dole znajdowała się wspólna kuchnia. W cenę pokoiów wliczałyśmy śniadanie. Nic wielkiego, naleśniki, jajecznica, twaróg ze szczypiorkiem, ale darmowy posiłek przyciągał ludzi.

Mieszkałyśmy w osobnym domu na tyłach posesji. Bardzo małym domu, z dwoma pokojami, salonem i kuchnią. Na czas wakacji mama odstąpiła Marceli swój pokój, chociaż chciałam, żeby mała spała ze mną. Ale mama stwierdziła, że skoro pracuję, muszę mieć swój kąt do odpoczynku.

Tata zmarł, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Miałam siedem lat, kiedy dostał zawału. Znienacka i bez ostrzeżenia. Jeden strzał i już go nie było. Zostały za to długie, niewykończony dom i olbrzymia pustka. Dopiero rok temu udało nam się spłacić kredyt zaciągnięty pod budowę wczasowiska. Od pięciu lat w każde wakacje dorabiałam na deptaku w Gdyni, w Gdańsku albo na Helu. Robiłam gofry, sprzedawałam biżuterię z bursztynu, obsługiwałam wynajem łodzi motorowych, robiłam tatuaże z henny i wiele, wiele innych rzeczy. Wszystko po to, aby podreperować nasz domowy budżet. Mama nigdy tego ode mnie nie oczekiwała, ale jak mogłabym ją z tym zostawić?

W tym roku złapałam fuchę w restauracji przy plaży. Zaczynałam zmianę o dziesiątej, a kończyłam, gdy ostatni plażowicz wychodził z lokalu. Dla siebie zostawały mi jedynie niedzielne popołudnia, ale się nie skarżyłam. Musiałam tylko przetrwać do połowy września, gdy ruch się zmniejszał. Wtedy i ja wyhamowywałam i mogłam odetchnąć przed powrotem na studia.

Studiowałam psychologię na Uniwersytecie Gdańskim i uwielbiałam ten kierunek. Chciałam z nim związać swoją przyszłość.

– Wracam za pół godziny – powiedziałam, biorąc łyk wody.

– Idziesz pobiegać?

– Tak, zanim się zrobi naprawdę gorąco – odparłam.

– Ola! – zawołała za mną. – Tylko się nie przegrzej – powiedziała na do widzenia, na co się uśmiechnęłam.

Powtarzała tak za każdym razem. Nie jedź za szybko. Ubierz się ciepło. Nie wypływaj za daleko. Miałam wrażenie, że to były takie zakłęcia, które naprawdę mnie chroniły.



Nasz dom wczasowy znajdował się w bocznej uliczce prowadzącej do głównego deptaka, a tam zawsze panował gwar i harmider. Do nas jednak nie docierał ten hałas i mieliśmy względny spokój.

Ruszyłam truchtem wzdłuż ulicy, żeby po chwili skręcić w jedno z wejść na plażę, do której żeby dotrzeć, trzeba przeciąć sosnowy las. O tej porze dnia w cieniu drzew biegało się naprawdę lekko i przyjemnie. Nie tylko ja postanowiłam wcześniej zacząć dzień. Co chwilę mijałam pierwszych plażowiczów z parawanami i parasolami pod pachą. Już za godzinę plaża zaczęła przypominać kolorowy labirynt i trzeba go będzie pokonywać slalomem.

Wbiegłam na drewniany podest, żeby dostać się nad wodę. Uprawiałam jogging prawie codziennie, więc na tym etapie nawet nie poczułam zmęczenia. Dopiero truchtając po piasku, gdy przecinałam plażę, aby dotrzeć do utwardzonego podłoża przy samym brzegu, poczułam lekką zadyszkę. Podkręciłam głośność w słuchawkach, żeby dodać sobie mocy. Sia w kawałku *Unstoppable* wmawiała mi, że mogę wszystko, i niemal jej uwierzyłam.

Chłodny wiatr od morza napełniał mnie euforią, dzięki której mogłam biec i biec, zupełnie jak w snach, gdy nigdy się nie męczyłam.

Dwadzieścia pięć minut później zatrzymałam się i oparłam dłonie o uda, żeby ustabilizować oddech i zapobiec kolce.

Zerknęłam na zegarek na nadgarstku. Westchnęłam, gdy stwierdziłam, że muszę zaraz wracać. W drodze powrotnej zatrzymałam się niedaleko wejścia na plażę, zrzuciłam z siebie koszulkę i szorty, a potem weszłam do wody, żeby się ochłodzić. Uśmiechnęłam się szeroko, gdy fale zaczęły lizać mi kostki, a potem uda i talię. Nie spieszyłam się, byłam zgrzana i nagła zmiana temperatury mogłaby przyprawić mnie o skurcz.

Gdy już się przyzwyczaiłam, zanurzyłam się cała i przepłynęłam kilkanaście metrów, czując, jak wstępują we mnie nowe siły. Po chwili ułożyłam się na wodzie na plecach i wpatrywałam w niebo. Obserwowałam stadko mew i paralotniarza, który szybował nad falami. Zamknęłam oczy i na chwilę pozwoliłam się zabrać morzu. Gdzieś, gdzie nie było zmartwień i problemów.

## 2.

– Igor? Jol! – Poczułem szturchnięcie w bok i dopiero wtedy ocknąłem się z transu.

Przez kilkanaście minut obserwowałem biegającą po plaży dziewczynę, która na zakończenie swojego cardio rozebrała się do bielizny i wskoczyła do morza. Jak zahipnotyzowany patrzyłem na jej zgrabne ciało, gdy wchodzi coraz głębiej do wody, aż wreszcie rzuca się na falę i płynie.

Teraz dryfowała na plecach, kołysząc się na falach.

– Co? – Zmusiłem się, żeby spojrzeć na kumpla.

– Pytam, czy idziemy się zameldować na kwatery? – powtórzył Borys, masując kark.

Zerknąłem na zegarek. Minęła dopiero ósma.

– Dopiero o dziesiątej. A co? Źle ci tu? – zagadnąłem.

Doprawdy, nie rozumiałem, o co mu chodziło. Plaża, słońce, woda – czego chcesz więcej?

– Kurwa, jestem głodny i chce mi się spać – jęknął i rzucił się na ręcznik.

– Boże, gorzej niż z dzieckiem. Przecież masz coś tam jeszcze w torbie – zauważyłem usłużnie.

– Tak, kurwa, bo drażami korsarzami się najem – odburknął i skrzywił się, przez co zaczął przypominać prosię.

– Jak można być ciągle tak nienażartym – rzucił Rob, który właśnie opadł na ręcznik.

Był cały mokry i ciężko dyszał. Każdy z nas zrobił sobie już poranną rozgrzewkę, ale Robert został w wodzie najdłużej. Kilka tygodni temu

miał wypadek na skałkach i zwichnął sobie bark, przez co miał długą przerwę w treningach i musiał nadrabiać stracony czas.

– Spierdalajcie obydwaj – jęknął Borys, którego nazwaliśmy Niedźwiedziem, bo sylwetką przypominał właśnie to zwierzę.

Zaśmiałem się i wróciłem spojrzeniem do dziewczyny, ale już gdzieś zniknęła.

– Wydaje mi się, że otwierają jakieś gastro o dziewiątej – zaczął znowu Niedźwiedź. – Idę się rozejrzeć. – Wstał i sięgnął po swoje toboły.

– Zaczekaj, pójdę z tobą – zaproponował Rob. – A ty? Idziesz? – zwrócił się do mnie, ale ja nie chciałem się jeszcze stąd zabierać.

– Dojdę do was. Jak coś znajdziecie, dajcie mi namiary.

– Luz. – Robert klepnął mnie w ramię, posłał to swoje uważne spojrzenie, którym mnie zawsze przeszywał, gdy nie był pewien, co zamierzam, i zarzucił na ramię plecak turystyczny stanowiący jego jedyny bagaż.

Zresztą ja i Niedźwiedź nie mieliśmy wcale więcej. Nie potrzebowaliśmy zbyt wiele. Tu na miejscu mieliśmy wszystko.

Rozejrzałem się po plaży powoli zaczynającej się zapełniać wczasowiczami. Nigdzie nie widziałem dziewczyny, która przyciągnęła mój wzrok. Była taka skupiona na tym, co robi, ale potem w wodzie miałem wrażenie, że się wyluzowała, a napięcie z jej ramion zeszło. Przynajmniej tak to wyglądało z mojej perspektywy.

Podłożyłem sobie pod głowę plecak i położyłem się na piasku. Słońce zaczynało przypiekać, ale czułem się z tym dobrze. Zakryłem twarz czapką z daszkiem i postanowiłem, że jeszcze trochę się zdrzemnę.

Nie trwało to długo, bo obok mnie rozłożyła się jakaś rodzinka. Oczywiście mieli ze sobą ze trzy parawany i zaczęli się bunkrować, jakby jutra miało nie być.

Westchnąłem poirytowany. Zebrałem swój dobytek i ruszyłem do wyjścia z plaży. Wybrałem drogę przez las, żeby trochę dłużej pospacerować. Zapach sosen i chrzęst igliwia pod stopami mnie uspokajały. Na ścieżce nie spotkałem jeszcze zbyt wielu spacerowiczów. Było na to za wcześnie. Na wakacjach ludzie woleli sobie pospać.

Minąłem park linowy i punkt spływu kajakowego, a potem wszedłem na deptak ciągnący się wzdłuż pól namiotowych, domków do wynajęcia i lokali gastro. Podrzuciłem torbę na plecach i zacząłem się rozglądać za kumplami. Wypatrzyłem ich w jakiejś naleśnikarni. Niedźwiedź wywijał widelcem, jakby nie jadł przynajmniej od trzech dni. Rob wsuwał je trochę spokojniej, ale też sobie nie żałował.

– Jezu, ale się napchałem – stęknął Robert i opadł ciężko na drewniane oparcie krzesła. – Teraz bym się kimnął – stwierdził.

– Będziesz miał okazję, bo na posterunku meldujemy się dopiero jutro – zauważyłem.

– O tak – powiedział Rob z błogością. – Idź sobie coś zamów, bo już po dziewiątej, musimy jeszcze zlokalizować kwatery.

Podszedłem do lady i przywitałem się z dziewczynami, które czekały już w gotowości.

– Poranna zmiana, hm? – zagadałem, a te uśmiechnęły się lekko zastydzone. – Czy tamci dwaj nie wyjedli zapasów na cały dzień? – Wskazałem na kumpli wyglądających tak, jakby mieli zapaść w śpiączkę spożywczą.

– Damy radę – odparła niska, ciemnowłosa dziewczyna o sympatycznej twarzy.

– To dobrze. To poproszę naleśnika z serem i owocami. – Wyciągnąłem z kieszeni portfel i zapłaciłem, a potem wrzuciłem kilka drobniaków do słoika z napiwkami.

W oczekiwaniu na zamówienie usiadłem obok chłopaków.

– Co dziś robimy? – zagadnął Borys, który przeglądał TikToka na telefonie.

– Ja na pewno idę w kimę – przypomniał Robert.

– Tak, tak, już to wiemy. – Borys machnął ręką. – Ale po kimce. Co robimy wieczorem? Idziemy się gdzieś nawalić?

Rob kopnął go pod stołem nogą.

– No co, kurwa? – oburzył się Borys, a ja ryknąłem śmiechem, bo wiedziałem, o co chodzi.

– Jezu, ogarnijcie się. To, że ja nie piję, nie oznacza, że wy nie możecie się napić. Nie przeszkadza mi to. – Wzruszyłem ramionami.

Taka była prawda. Kilka miesięcy temu wpadłem w cug, ale w porę się opanowałem. Od tego czasu nie piłem i na razie nie planowałem do tego wracać. Tak postanowiłem i w ogóle nie czułem pokus. Miałem motywację, która mnie w tym umacniała.

– Nie wiem, czy chcę się najeść wieczorem przed pierwszym dniem roboty. Najwyżej kupimy sobie browary i wypijemy na kwaterze – zarządził Robert, który z nas trzech był najrozsądniejszy.

– Mnie pasuje – zgodził się Niedźwiedź.

Przybyły moje naleśniki i natychmiast wbiłem w nie widelec. Pachniały obłędnie.

– Jakbyś już nie mógł, to ja chętnie dokończę – zaoferował Borys, a ja posłałem mu niedowierzające spojrzenie.

Gdy zjadłem (wszystko), dochodziła dziesiąta.

– Dobra, zbieramy się na kwaterę. – Rob podniósł się pierwszy, głośno przy tym ziewając.

Wstałem ociężały, ale najedzony do oporu, i też zachciało mi się spać. Nocny pociąg, w którym nie dało się porządnie wyspać, dawał mi się teraz we znaki. Potarłem dłońmi twarz i zarzuciłem torbę na ramię. Ruszyliśmy wzdłuż deptaka, gdzie zaczynało się robić tłoczno. Słońce też mocniej przygrzewało, ale wciąż było rześko.

– Nawigacja mówi, że teraz skręcamy – poinformował Borys. – To chyba za tamtym marketem. – Wskazał ręką za sklepem spożywczym, trochę na uboczu i z dala od głównej drogi.

Skręciliśmy w wąską uliczkę pomiędzy budynkami i drzewami, a naszym oczom ukazał się piętrowy budynek z dwoma balkonami na froncie.

– Wygląda okej – skwitowałem. – Spodziewałem się jakiegoś kurnika czy innej szopy – dodałem, przypominając sobie nasze lokum na dwa miesiące sprzed roku.

Zazwyczaj zleceniodawca, czyli miasto, oszczędzało na takim luksusie jak zakwaterowanie dla ratowników. *Oj tam, oj tam, młodzi, to i na beli słomy się zdrzemną, po co im więcej, przecież funduje się im dwa miesiące wakacji nad pięknym polskim morzem*, myślałem z ironią. Budynek przed nami wyglądał dość zwyczajnie, co w tym przypadku oznaczało duży komplement.

Zadzwoniliśmy dzwonkiem. Po chwili otworzyła nam kobieta w średnim wieku, o blond włosach zwiniętych w kok.

– Panowie z rezerwacji? – zapytała, taksując nas spojrzeniem.

– Tak. – Robert wręczył jej potwierdzenie z maila.

– Zapraszam. – Otworzyła szeroko drzwi. – Pokój jest na piętrze. Trzyosobowy z prywatną łazienką – wyjaśniła, co sprawiło, że spojrzeliśmy na siebie wymownie.

Luksus za luksusem.

Weszliśmy za kobietą na górę wąską, pomalowaną na beżowo klatką schodową. Na piętrze znajdowały się cztery pokoje i jedna łazienka. Właścicielka zatrzymała się przy tym na końcu korytarza. Wręczyła nam dwa komplety kluczy.

– Rozumiem, że panowie na bite dwa miesiące? – dopytała. – Ze śniadaniami?

– Tak, zgadza się, ze śniadaniami – odparł Borys, chociaż nie przypominałem sobie, żeby jakieś posiłki zostały wliczone w nasz pobyt.

Kobieta dla pewności zerknęła w rezerwację i skinęła głową.

– Tak, śniadania są wliczone. Serwujemy je codziennie z wyjątkiem weekendów od siódmej do dziesiątej. Nic wyszukanego. Zamawiacie panowie na dole w kuchni.

– Super, dziękujemy – rozpromienił się Niedźwiedź.

– A, i jeszcze coś. Prosiłabym o nieorganizowanie w pokoju żadnych imprez. Przyjeżdżają tu rodziny z dziećmi i cenią sobie spokój – wyjaśniła. – Zresztą, to miejscowość wczasowa, bardzo łatwo można znaleźć jakiś lokal do balowania. – Uśmiechnęła się do nas i dodała: – Gdybyście chcieli jeszcze o coś zapytać, to będę na dole w recepcji albo w kuchni. Za dodatkową opłatą możecie zamówić też obiad.

– Dziękujemy. – Rob uklonił się kobiecie, a ta uśmiechnęła się pod nosem i pokręciła głową.

– Dobra, otwierajcie ten przybytek – zarządziłem, bo musiałem pilnie do toalety.

Weszliśmy do środka. Pokój z aneksem kuchennym prezentował się porządnie. Trzy łóżka, w tym jeden zestaw piętrowy.

– Śpię na górze! – ryknął Borys i wrzucił na górny materac torbę.

– To ja na pewno nie śpię na dole. Jak ta konstrukcja się zawali, nie chcę zginąć pod twoim cielskiem – oświadczył Robert i zajął łóżko wolnostojące, a mnie pozostała dolna prycza.

Pokój był świeżo odmalowany, jeszcze pachniał farbą. Pod jedną ze ścian stała pojemna szafa, przy aneksie znajdował się stół z dwoma krzesłami. W pomieszczeniu zmieściła się jeszcze kanapa z Ikei, a na ścianie wisiał telewizor. Jak dla mnie pełen luksus.

Zaczęliśmy się rozpakowywać, a Rob, zgodnie z zapowiedzią, walał się na swoje łóżko i niemal natychmiast zasnął. Borys włączył telewizor, podczas gdy ja wyszedłem na balkon, który przylegał do naszego pokoju. Były na nim dwa plastikowe krzesła i stolik. Oparłem się o barierkę i zapatrzyłem na gałęzie drzew jabłoni. Mógłbym ich dotknąć, gdybym tylko wyciągnął rękę. Dopiero po chwili zobaczyłem kogoś, kto siedział na ławce pod grubym konarem. Dziewczyna.

Jakby usłyszała moje myśli, odwróciła się gwałtownie i popatrzyła w górę. To była ona. Laska z plaży. Poznałem ją po ciemnych włosach i ubraniu. Z bliska wydawała się jeszcze ładniejsza. Skinąłem jej głową, ale ona tylko zmarszczyła czoło, odwróciła się ostentacyjnie, a potem wstała z ławki i szybkim krokiem zniknęła za zabudowaniami.

### 3.

– Marcela jeszcze śpi? – zapytała mama, wchodząc do kuchni.

– Tak. Niech sobie pośpi, ma wakacje. – Wsypałam do miski musli i zalałam je zimnym mlekiem.

– Ale nie jedz na stojąco. Usiądź – upomniała mnie, a ja tylko westchnęłam i mimo wszystko jej posłuchałam.

Nie lubiłam siedzieć, ciągle się gdzieś spieszyłam, nawet jeśli nie musiałam. Taki już miałam charakter.

Mama zabrała się za krojenie chleba i bułek, które przyniosła z okolicznej piekarni. Wszystko świeże i pachnące. Tak było codziennie. Zawsze jej zależało, żeby wczasowicze byli zadowoleni z posiłków i pokoi.

– Dzisiaj muszę tego przygotować przynajmniej dwa razy więcej. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Dlaczego? – zdziwiłam się.

– Widziałaś tych trzech ratowników, co wczoraj przyjechali do szóstki? – zaśmiała się. – Wyglądają tak, jakby mogli zjeść ten stół. – Stuknęła nożem o blat i znowu zachichotała. – Zwłaszcza jeden. Wielki z niego chłop.

– Mamo! Czy tobie któryś wpadł w oko? – zapytałam z niedowierzaniem.

Popatrzyła na mnie ze zgrozą w oczach.

– Skąd. Po prostu fajne z nich chłopaki. Sympatyczni – zaczęła się usprawiedliwiać.

– Tak, tak. Sympatyczni – powtórzyłam i posłałam jej wszystkowiedzące spojrzenie.



– Dziecko, mówię z myślą o tobie – powiedziała. – Jeden w szczególności wygląda na takiego, który byłby w twoim typie. – Uśmiechnęła się. – Ten o jaśniejszych włosach – dodała z rozmarzeniem.

– Taaa – burknęłam i nie rozwijałam tematu.

Miałam za dużo do czynienia z przyjezdnymi chłoptasiami z miasta, żeby myśleć o którymkolwiek z nich w kategoriach innych niż obojętność. Mogą być sobie nawet modelami z okładki „Men’s Health”, a i tak to nic dla mnie nie znaczyło, bo byli niewarci złamanego grosza. Owszem, na jedną noc, jeśli miałabym właśnie ochotę, to czemu nie, ale tego przecież mojej mamie nie powiem. Zdarzało się, ale raczej rzadko, bo nie za bardzo ufałam facetom, którym na wakacjach puszczały wszelkie hamulce.

– Dobra, zabieram się za robotę. – Odsunęłam od siebie te myśli i zajęłam się smażeniem naleśników.

Mama w tym czasie nakryła do stołu w jadalni, która znajdowała się w sąsiednim pomieszczeniu. Bardzo dbała o czystość i estetykę, dlatego co rano zmieniała małe bukietki polnych kwiatów i zakładała wyprane obrusy. Goście to doceniali. Niektórzy wracali do nas co roku.

Gdy mama skończyła porządki, w jadalni pojawili się pierwsi pensjonariusze. Młoda para z dwójką kilkuletnich dzieci. Pewnie bliźnięt, bo chłopiec i dziewczynka byli do siebie bardzo podobni.

Zaraz za nimi pojawiły się trzy dziewczyny chyba w moim wieku. Zawsze rozmawiały głośno i żywo gestykulowały. Nie minęła minuta, a do sali wkroczyło trzech facetów, szerokich w barach i z wielkimi uśmiechami na twarzach. Już wiem, co mama miała na myśli, kiedy mówiła, że musi podwoić standardowe porcje.

Mogłam ich obserwować przez okienko do zwrotu naczyń, a oni mnie nie widzieli. I dobrze.

Zachowywali się w miarę spokojnie, bez wybuchów wesołości i jakichś gorylich okrzyków. Zamówili u mamy racuchy w ilości przekraczającej zdrowy rozsądek, dwie jajecznice, do tego warzywa, kilka kajerek, dzban kawy i kilka rodzajów dżemów.

– Dobry Boże – jęknęła mama. – Z kuchni dziś nie wyjdę. – Pokręciła głową. – Dobrze, że miasto zapłaciło dodatkowo za posiłki, chyba domyślali się, że to nie będzie prosta przeprawa – zaśmiała się dobrodusznie.

Nastawiłam zmywarkę, a potem na prośbę mamy poszłam do jadalni, żeby pozbierać pozostawione naczynia i sprawdzić, czy nikt niczego nie

potrzebuje. Gdy przekroczyłam próg sali, skrzyżowałam spojrzenie z chłopakiem o oliwkowych oczach. Szybko odwróciłam wzrok. Nie chciałam, żeby sobie nadinterpretował ten przypadkowy gest. Najpierw obsłużyłam rodzinę z dziećmi, a potem trzy rozchichotane dziewczyny. Na koniec zostawiłam sobie ratowników.

– Coś jeszcze wam podać? – zapytałam, patrząc w oczy ciemnowłosemu koleśowi z tatuażem wystającym spod T-shirtu.

– Nie, dzięki. *By the way*, wszystko było megasmaczne. – Uśmiechnął się.

Cały czas czułam na sobie wzrok dwóch pozostałych facetów. W szczególności tego o jaśniejszych włosach i dziwnych, oliwkowych oczach.

– Cieszę się. W takim razie życzę miłego dnia na plaży – odparłam i już chciałam odejść, ale usłyszałam „przepraszam”, więc się odwróciłam.

– Czy możemy poprosić o kawę na wynos? – zapytał Robert, pokazując na kubki termiczne, które mieli przy sobie. – Odpłatnie, oczywiście – dodał, gdy na moment się zawahałam.

Instynktownie nastawiłam się na jakąś głupią zaczepkę albo idiotyczne pytanie i już szykowałam w głowie ripostę. Ta zwykła prośba mnie trochę skołowała.

Odchrząknęłam.

– Tak, jasne. – Zebrałam od nich ich termosy z logo jakiegoś klubu pływackiego i zniknęłam pośpiesznie w kuchni.

Odpaliłam ekspres do kawy i napełniłam kubki, a potem zgarnęłam je oburącz i zaniiosłam do jadalni.

– Proszę – powiedziałam. – Mleko i cukier są tam. – Wskazałam na stolik obok drzwi. – Czestujcie się.

– Dzięki – odparli zgodnym chórem, co trochę mnie rozbawiło.

Ich maniery, jak na miastowych, na razie były bez zarzutu. Na razie. Z każdego prędzej czy później wychodził cham. Tego nauczyło mnie doświadczenie i prowadzenie biznesu.

Wróciłam do kuchni i zaczęłam sprzątanie, a kątem oka zerkałam na salę przez okienko. Owszem, każdy z ratowników był na swój sposób przystojny, ale tylko jeden z nich działał na mnie w ten specyficzny sposób, przez który serce samoistnie przyspieszało swój rytm. Ten o oliwkowych oczach i ciemnoblond włosach, w słońcu wyglądających jak złote. To tylko pociąg fizyczny. Wiedziałam, jak walczyć z takimi odruchami.

Odwrociłam wzrok i skupiłam się na tym, co mnie dzisiaj jeszcze czekało. O szesnastej musiałam być w restauracji tuż przy samym morzu. Pracowałam tam jako kelnerka i barmanka. Lubiłam to miejsce z uwagi na widoki, a dokładnie spektakularne zachody słońca, które za każdym razem wbijały mnie w podłogę. Podczas tej pracy potrafiłam się wyłączyć. Słuchałam klientów, robiłam swoje, nie myślałam o problemach.

Około dwunastej, gdy skończyłam sprząatanie wolnego pokoju, wróciłam do siebie i rzuciłam się na łóżko. Wzięłam telefon i zaczęłam przeglądać sociale. Odpisałam kumpeli, z którą pracowałam na zmianie, a która chciała wiedzieć, czy po mnie wpaść. Dałam jej znać, że dotrę sama. Lubiłam ją. Była bardzo ekstrawertyczna, dzięki czemu mój introwertyzm uwidaczniał się jeszcze bardziej, ale o dziwo, Julka nie działała mi tym na nerwy.

Zerknęłam na moje finanse w aplikacji, a potem weszłam na konto firmowe. Westchnęłam, sfrustrowana. Po pandemii nic nie było w stanie pomóc nam odrobić strat z prawie dwóch lat. Ledwie wychodziłyśmy na zero, a nie po to się zakłada biznes i pracuje prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ten sezon zweryfikuje to, czy nie będziemy musiały sprzedać domu i pensjonatu. *Może tak byłoby najlepiej*, pomyślałam w przyływie rozgoryczenia. Tak naprawdę nie chciałam się stąd wynosić. To był mój dom i tu chciałam zostać. Moja mama również. Wiem, że wyprawka złamałaby jej serce, o ile śmierć mojego taty nie roztrzaskała go już na drobny mak.

Z moich rozmyślań wybiło mnie pukanie do drzwi. Po chwili w prześwicie ukazała się twarz Marceli. Jej ciemne włosy mama jak zwykle zaplotła w dwa warkoczki, ale te nigdy nie ostawały się do wieczora. A ciemna grzywka, przycięta przeze mnie tuż nad linią brwi, sterczała już na boki. Jej buzia w kształcie serca była obsypana piegami, a policzki zaczerwienione od gorąca. Miała na sobie krótkie szorty i koszulkę na ramiączkach.

– Właż, dzieciaku – powiedziałam, zapraszając ją ręką do środka.

Marcelinka wskoczyła na moje łóżko, a fala tego gestu podrzuciła mnie do góry.

– Kiedyś połamiesz to wyro, jak Boga kocham – skomentowałam. – Gdzie byłaś?

– A tak sobie łaźiłam po podwórku – wyjaśniła enigmatycznie, co oznaczało, że kłamie.

– Nie byłaś przypadkiem na plaży? – Przybrałam surowy ton i zmarszczyłam czoło, spoglądając jej prosto w oczy.

Miała bezwzględny zakaz pałowania się samopas po lasach i plaży. Nie wiadomo, na kogo mogła tam trafić, tym bardziej że codziennie przybywało mnóstwo ludzi. Poza tym baliśmy się, żeby nie weszła sama do wody, bo uwielbiała pływać.

– Absolutnie nie – odparła gorliwie. – Ale...

– Ale? – dopytywałam, podczas gdy Marcela zaczęła się nerwowo bawić swoim warkoczem.

– Ale coś znalazłam. – Jej oczy się zaświeciły, a moje jeszcze bardziej zwęziły.

– Co znalazłaś? – dociekałam cierpliwie.

– Kotka, a właściwie kilka kotków. – Wyszczrzyła się w pełnym zachwycenia uśmiechu. – Były zupełnie same.

– Gdzie je niby znalazłaś?

– W... lesie. – Skrzywiła się. – To znaczy przy samym brzegu, prawie do niego nie weszłam, ale usłyszałam miauczenie i po prostu musiałam sprawdzić, co to. – Zatrzepotała wachlarzem rżęs. – Nie gniewaj się. Nie wchodzę tam sama, mówię prawdę.

Westchnęłam.

– Mam nadzieję, że nie kłamiesz. – Pociągnęłam ją za warkoczyk. – Gdzie są te koty? Pewnie ich mama wyszła tylko na chwilę poszukać czegoś do jedzenia. Nie możemy ich zabrać.

– Myślę, że ktoś je porzucił. Są ślepe i chyba głodne. Zobaczysz je chociaż? – poprosiła.

Cóż mogłam zrobić? Musiałam się z nią tam udać.

Po dziesięciu minutach marszu dziarskim krokiem dotarliśmy na miejsce. Faktycznie, Marcela wskazała skraj lasu, obficie obrośnięty jeżynami i krzakami jagód.

– O, tam, Ola! – Przyspieszyła i zatrzymała się przy jednym z drzew.

Na moment zastygłam w miejscu, bo zobaczyłam kogoś nieopodal. Faceta. Wysokiego, w znajomej zielonej koszulce, w której widziałam go przy śniadaniu. Stał pod jednym z drzew i patrzył w górę. I wtedy zwrócił się twarzą w moją stronę. Ponownie tego dnia spotkaliśmy się spojrzzeniami. To był on. Jeden z koleśi wynajmujących u nas pokój. Nie zrobił żadnego gestu, jakby mnie nie rozpoznał, ja też nie skinęłam mu głową. Przez kilka sekund po prostu na siebie patrzyliśmy, jakby świat się na moment zatrzymał.

– Ola! – Głos Marceli wyrwał mnie z tego bezsensownego transu.

– Już idę. – Ruszyłam się z miejsca i podeszłam do drzewa, przy którym przyklekła młoda.

– Patrz, jakie maleńkie – pisnęła.

– I chyba faktycznie głodne. – Przyjrzałam się paru drobnym kotkom, z ledwie widocznym meszkiem na ciele, i od razu zrozumiałam, że ich matkę musiało spotkać coś złego, bo wyglądały na wygłodzone.

Wciąż szukały piersi, jakby przez długi czas nie miały nic w pyszczkach. Podrapałam się po głowie. Nie wiedziałam, czy coś możemy dla nich zrobić. Bez matki były skazane na śmierć. Rozejrzałam się dookoła, by się upewnić, że są same. Nigdzie nie zauważyłam żadnej kotki.

– Zabierzemy je? – Marcela spojrzała na mnie błagalnie, a w jej oczach pojawiły się błyski zapowiadające łzy.

Była taka wrażliwa i empatyczna. Westchnęłam ciężko i sięgnęłam po pudełko piszczących kociąt. Okazało się zaskakująco lekkie.

– Yes! – krzyknęła w niebo Marcela.

Powstrzymałam uśmiech i pokręciłam głową z udawanym niezadowolaniem. Po kilkunastu minutach znalazłyśmy się z powrotem w domu. Ułożyłam pudło pełne żyjatek na moim łóżku i spojrzałam na nie bezradnie. Poruszały się, ale widać było, że słabły.

– I co teraz, Ola? – zapytała Marcela.

Przykucnęła przy nich i zaczęła delikatnie muskać grzbiety i łebki. W jej oczach znowu zbierały się łzy. Mogłam patrzeć na wszystko, tylko nie na jej płacz, dlatego z kolejnym westchnieniem wyciągnęłam smartfona i wklepałam w Google: *jak wykarmić porzucone kociaki*.

– Musimy kupić formułę mleka. Taką dla niemowląt. I jakieś pipety, żeby można je przez nie nakarmić – powiedziałam. – Zostań tu, polecę do apteki i coś skołuję.

– Zostanę – obiecała solennie.

Po półgodzinie miałam wszystko, co było potrzebne, plus kilka ekstra rad od farmaceutki, która okazała się zagorzałą kociarą.

W moim pokoju oprócz Marceli zastałam też mamę. Obie pochylały się nad nieszczęsnymi zwierzakami i debatowały nad ich losem.

– Jestem – rzuciłam.

Podskoczyły przestraszone, tak zaferowane tym, co się działo w pudełku, że nawet nie zauważyły mojego przyjścia.

– Ach, no w samą porę, bo nie wyglądają dobrze – powiedziała mama i pomogła mi z przygotowaniem mleka.

Przez następną godzinę w skupieniu wykarmiłyśmy siedem kociąt, które po wszystkim po prostu zasnęły. Marcelina wsunęła im do pudła maskotkę w kształcie kota, a te przytuliły się do niej i delikatnie przebiebrały nogami.

Moja bratanica uśmiechała się błogo z głową prawie włożoną do pudła.

– Marcela, ale nie przywiązuj się do nich zbyt mocno, to dopiero początek. Nie wiemy, czy uratowałyśmy je na czas – ostrzegłam, żeby potem nie patrzeć na jej złamane serce, chociaż wątpiłam, że mnie w tej chwili w ogóle słucha.

Mama uśmiechnęła się pod nosem i wskazała mi ręką, żebyśmy wyszły na korytarz.

– Myślę, że już czas pomyśleć o pokoju dla małej – oznajmiła, gdy podążałyśmy w stronę kuchni w naszym prywatnym domu.

Usiadła za stołem i odruchowo poprawiła serwetkę.

– Jeśli się nie wysypiasz na kanapie, mała może spać u mnie – zapewniłam, bo wcale by mi nie przeszkadzała, ale mama pokręciła gwałtownie głową.

– Nie chodzi o to. Dzwonił Andrzej – westchnęła zmęczona. – Nie zabierze jej po wakacjach. – Potarła ręką czoło. – Oświadczył, że szykuje mu się kolejna fucha w Warszawie, i pytał, czy Marcela mogłaby u nas zostać przez kolejne miesiące, bo on nie może zaprzepaścić takiej okazji. – W ostatnich słowach wybrzmiał wyraźny sarkazm.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – zapytałam. – Jakbyś nie znała swojego syna.

Andrzej zawsze był słabym ogniwem tej rodziny. Kombinator i wieczny imprezowicz. I do tego ta jego, pozał się Boże, żona, która uciekła za granicę, pozostawiając maleńkie dziecko. Kto tak robi?

Ale to pasowało do Andrzeja. Zrobił dziecko jakiejś ledwo poznanej lasce, chajtnął się z nią naprędce, ale ta stwierdziła po kilku miesiącach, że nie chce brać odpowiedzialności za dzieciaka, i po prostu związała, a wcześniej znalazła sobie sugar daddy’ego, aby nie musieć pracować. Mimo wszystko cieszyłam się, że ją zostawiła, a nie zabrała ze sobą, gdzie mogłaby ją zaniedbywać, a my nawet byśmy o tym nie wiedzieli. Tylko żal mi tego, że Marcela będzie dorastać ze świadomością, że jej własna matka jej nie chciała. To się kiedyś na niej odbije, nawet jeśli ja i jej babcia kochałyśmy ją najbardziej na świecie.

Mama wzruszyła ramionami.

– Myślę, że na strychu można by wygospodarować miejsce na pokój. Mały, ale jej własny – powiedziała tylko. – Albo niech przejmie mój, a ja na stałe przeniosę się do salonu – dodała, ponownie poprawiając obrusik.

– Daj spokój, ty też musisz się wysypiać. – Podeszłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz, na podwórze i sad, który oddzielał nas od pensjonatu. – Może po prostu po wakacjach przeniosę się do jednego z pokoi w hotelu – zaproponowałam. I gdy ten pomysł wyfrunął z moich ust, stwierdziłam, że jest idealny.

Marcela będzie mogła zająć mój pokój, a mama wróci do siebie. Od października obłożenie jest znikome, chociaż zdarza się, że ktoś chce korzystać z wypoczynku nad morzem późną jesienią, ale to zawsze są sporadyczne przypadki. Jeden zajęty przeze mnie pokój nie zaszkodzi.

– Myślę, że Marcela powinna z nami zamieszkać na stałe. Oficjalnie – dodałam. – Dziecko nie może co chwilę zmieniać szkół czy miejsca pobytu. Zadzwońię do Andrzeja i pogadam z nim w tej sprawie – stwierdziłam.

– Nie wiem – odparła z rezerwą. – Zgadza się na jej przeprowadzkę, ale nie chce się zrzec do niej praw. Wiesz, on na swój sposób ją kocha i o nią dba. I wie, że my się nią dobrze zajmiemy, ale wciąż jest jej ojcem – tłumaczyła go, ale ja tylko prychnęłam.

Co by się stało z Marcelą, gdyby nas nie było? Bałam się o tym nawet pomyśleć.

– Pogadamy o tym później. Muszę się zbierać do roboty – powiedziałam i ziewnęłam. – Przypilnujesz tych jej kotów? – dopytałam. – Nie chcę, żeby potem znowu się rozkleiła, jak wtedy z tym szpakiem, który rozbił się o okno – przypomniałam.

– Nie martw się tym, dziecko. – Popatrzyła na mnie z czułością, od której zrobiło mi się w środku ciepło. – Jestem tutaj i zajmę się nią, a ty miej spokojną głowę – dodała.

*Łatwo powiedzieć*, pomyślałam. Czasy, gdy mogłam mieć spokojną głowę, skończyły się wraz ze śmiercią taty. Wcześniej rzeczywiście mogłam być beztroską dziewczynką, której jedynym obowiązkiem było pilnowanie porządku w pokoju i odrabianie lekcji. To odeszło bezpowrotnie.

Była piętnasta trzydzieści, gdy przygotowałam się już do wyjścia. Do baru na plaży udawałam się zawsze pieszo, bo znajdował się naprawdę niedaleko. Kiedy wracałam późną nocą, zawsze ktoś mi towarzyszył – ktośś z koleżanek albo kolegów z pracy. Nie bałam się samotnych powrotów,

ale od zeszytych wakacji, kiedy to znaleziono na plaży topielca, czułam się niekomfortowo, przemierzając tę trasę nocą. W samym zdarzeniu nie było nic nadzwyczajnego. Tam, gdzie woda, tam toną ludzie, ale niedługo po tym prokuratura stwierdziła, że to samobójstwo, a facet miał mniej więcej tyle samo lat co ja. Co musi się dziać w psychice kogoś takiego, że decyduje się na tak desperacki krok? I dlaczego akurat utonięcie?

Przeżyłam w życiu trudne chwile, ale żadna z nich mnie nie zła- mała. A może nie były na tyle ciężkie, żeby mnie złamać?

Nie wiedziałam. Nie próbowałam też śledzić historii tego topielca, bo miałam wtedy na głowie mnóstwo zajęć. Ludzie tłumnie rzucili się na wyjazdy krajowe. Po pandemii wszyscy poczuli wolność, a że istniały poważne ograniczenia w podróżach za granicę, zmęczeni izolacją ludzie wybierali nadmorskie miejscowości. Miałyśmy pełne obłożenie przez kilka miesięcy, ale nawet to nie pozwoliło odrobić strat. Problem polegał na tym, że przedsiębiorcy żyjący z zysków w czasie sezonu, w tym przy- padku letniego, muszą przeżyć za te pieniądze przez kolejne miesiące. Niestety, nasz sezon trwa bardzo krótko, potem to już tylko minimali- zacja kosztów.

Do baru ruszyłam spacerem. Było gorąco, ale im bliżej morza, tym bardziej wiatr się wzmacniał i odganiał upał. Najbliżej lokalu znajdowało się przejście numer siedem. Wyszłam z sosnowego lasu i na moment przy- stanęłam przy drewnianym płocie będącym częścią konstrukcji podtrzy- mującej przesuwające się wydmy. Spojrzałam na horyzont i na przepły- wający właśnie statek pasażerski. Najpewniej prom ze Szwecji. Zawsze chciałam na niego wsiąść i przez kilka dni być po prostu turystką. Snuć się po uliczkach Sztokholmu, zwiedzać, zatrzymać się w porcie i spo- głądać na statki po tamtej stronie.

Westchnęłam, rozmarzona. Od kilku lat nie miałam prawdziwych wakacji, ale może to się wkrótce zmieni.

Ruszyłam plażą do pubu. Słońce wisiało wysoko na niebie, ale już od szesnastej restauracja pękała w szwach.

Przy wejściu znajdowały się deptak i drewniana platforma, na której stworzono ogródek restauracyjny. Wieczorem świeciły się tu girlandy, a wokół było pełno zieleni, drzewek cytrynowych, palm i bananowców, co dawało złudzenie egzotycznych wakacji. Mnie się podobało.

– Siema, Ola – przywitał się kumpel, który przygotowywał patio.

– Siema, Krystian. – Pomachałam mu.



– Co tam słychać? – zagadał, gdy go mijałam.

– Nic ciekawego, z wyjątkiem pudła parodniowych kociąt, które musiałam wykarmić, bo bratanica nie dałaby mi żyć. – Wzruszyłam ramionami. – Dzień jak co dzień.

Krystian się zaśmiał.

– Serio?

– Serio, serio. Znalazła je gdzieś w lesie i mnie do nich zaciągnęła. Myślałam, że gdzieś tam jest ich matka, ale wyglądały na wygłodzone, więc musiałyśmy je zabrać. Jakbyś potrzebował kota, to wiesz, do kogo uderzyć – dodałam bez większych nadziei na sukces.

– Będę pamiętał. – Wyszczrzył się szeroko.

Krystian był dawnym kumplem mojego brata jeszcze z liceum. Ci, którzy dorastali w okolicznych miejscowościach, zazwyczaj trzymali się razem.

– Okej, idę się przygotować – rzuciłam i weszłam do środka, gdzie minęłam się w przejściu z szefem.

Antoni. Koleś po pięćdziesiątce z farbowanymi na czarno włosami i wąsami à la Freddie Mercury. Musiałam przyznać, że dumnie nosił ten kolor pomimo kpin personelu i swojego faceta.

– Dzień dobry, Olu – powiedział z charakterystycznym manieryzmem w głosie. – I do widzenia, bo ja już uciekam. Sylwester czeka na mnie z obiadem – dodał.

– No to... smacznego – odparłam z rozbawieniem i udałam się do szatni.

Właśnie dlatego wybrałam pracę w tym miejscu. Po pierwsze szef prawie zawsze omijał lokal podczas największej gorączki, a po drugie był tak zakręcony, że wolał nie ingerować w naszą pracę, po prostu zjawiał się przed robotą, rozliczał utarg, rozglądał się tak dla niepoznaki i jak najszybciej stąd uciekał. Raz w tygodniu, zazwyczaj w poniedziałki, przyjeżdżał też Sylwester, nasz finansowy guru. I to on okazał się z nich dwóch surowszy, i sprawdzał, czy wszystko funkcjonuje prawidłowo i czy załoga się nie rozbawiła i nie rozpiła.

Mnie to odpowiadało, reszcie też. Poza tym te widoki, gdy zachodziło słońce i zapalały się girlandy na patio... Poezja.

Pierwsi goście pojawili się tuż przed otwarciem. Usiedli na zewnętrznym patio i czekali.

– Bramki startowe czas otworzyć – rzuciła Julka, już w pełni gotowa.

Następne godziny miały mi bardzo szybko. Dopiero około dziesiętnastej zrobiłam sobie przerwę i schowałam się na tyłach, żeby zjeść tost z serem. Usadowiłam się na pomoście z widokiem na plażę i morze. Nie wyobrażałam sobie życia bez tego uczucia wolności, które dawała woda. Może iluzorycznego, ale człowiek potrzebował czasami w życiu uludy.

Wyciągnęłam telefon i wysłałam wiadomość do Marceli, żeby dowiedzieć się, jak się mają kocięta. Po minucie wysłała mi zdjęcie, które zamieściła przed godziną na TikToku. Wyglądało na to, że wszystkie przeżyły. Odetchnęłam z ulgą głównie z uwagi na bratanicę.

Wsunęłam ostatni kęs kanapki do ust i popiłam go wodą.

– Ale widok – usłyszałam tuż za sobą i omal nie zadławiłam się łykiem.

Zaczęłam szaleńczo kaszlać, a czyjaś duża dłoń poklepała mnie po plecach. Gdy się uspokoiłam, odwróciłam się, aby sprawdzić, kto przebrał mi moją słodką uludę.

Ratownik. Ten o zielonozłoty oczach, które w blasku zachodzącego słońca mieniły się bardziej złotem, podczas gdy w ciemnoblond włosach odznaczały się kasztanowe pasma. Był w ubrany po cywilnemu.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytałam opryskliwie, dając mu do zrozumienia, że jego obecność nie jest tu mile widziana.

On się tylko uśmiechnął pod nosem i beczelnie usiadł obok mnie na pomoście, następnie zwiesił nogi i oparł głowę o belę przytrzymującą konstrukcję. Pachniał słońcem i morską wodą.

– Widzę, że odbieranie subtelnymi aluzji nie jest twoją mocną stroną – skomentowałam. Jego bliskość wywoływała gęsią skórę na ciele, zupełnie jakbym zmarzła.

– Masz na myśli ten słodki ton, którym równie dobrze mogłaś powiedzieć „spierdalaj”? – Wyszczerył się.

Omali się nie uśmiechnęłam.

– Dokładnie ten – odparłam, odwracając twarz w stronę zachodu.

– O ile mi wiadomo, ten skrawek pomostu nie należy do ciebie i nie możesz mi zabronić obserwowania tego fenomenalnego widoku. – Westchnął ostentacyjnie. – A ja mam romantyczną naturę i lubię sobie popatrzeć na zachody słońca – dodał z pełną powagą.

Tym razem nie wytrzymałam i parsknęłam w głos. *Taaa, romantyczna natura*, pomyślałam. Pewnie chodzi mu o pieprzenie się przy zachodzie słońca. Pokręciłam głową ze śmiechem.

– No dobra, panie romantyku. Spadam. Nie każdy może sobie siedzieć i wzdychać do nieba. – Podniosłam się, a on jakby dopiero teraz zauważył, że mam na sobie koszulkę z nazwą restauracji, na której tyłach siedzieliśmy.

– Miłego wieczoru – powiedział i podniósł delikatnie rękę do góry na do widzenia. – A tak przy okazji, jestem Igor – rzucił.

– Olka – odparłam i przyspieszyłam, żeby schować się za rogiem budynku.

Wróciłam do lokalu i zabrałam się za serwowanie jedzenia i alkoholu. Ludzie przybywali tłumnie. Nie dziwiłam się im, restauracja Błękitna Laguna była niesamowicie klimatyczna.

– Ogarniesz tych przy wejściu na patio? – zapytała w pośpiechu Angelika, moja druga koleżanka ze zmiany.

– Jasne – powiedziałam i ruszyłam w tamtym kierunku.

Gdy zbliżałam się do wskazanego miejsca, moim oczom ponownie ukazało się trio wynajmujące u nas pokój. Zwolniłam i spróbowałam zignorować fakt, że serce przyspieszyło mi na widok jednego z nich. Nie należałam do idiotek. Pociągał mnie i nie dostrzegałam w tym niczego niezwykłego. Dawno z nikim się nie spotykałam, a on był cholernie przystojny i po prostu tak na mnie działał.

– Co wam podać? – zapytałam neutralnie.

Jeden z nich, ten najpotężniejszy, podniósł na mnie oczy i wyszczerzył się szeroko.

– To znowu ty? – zapytał.

– Niestety. – Wzruszyłam ramionami, próbując się uśmiechnąć.

– Nie wiem, jak koledzy, ale ja nie mam nic przeciwko – rzucił i zarechotał, co lekko mnie poirytowało, bo zabrzmiało to jak podryw.

– Weź się zamknij. – Kopnął go pod stołem ten o najlepszych manierach i przyjemnej twarzy. – Ja wezmę piwo. Igor – wskazał na dziwnie milczącego kumpla, który nie odrywał ode mnie oczu – bierze colę, a dla tego chama – szturchnął kolegę po swojej prawej – szmatę nasączoną chloroformem i najtańsze piwo – powiedział.

– Co do chloroformu to chyba właśnie wyszedł, ale piwo i colę jeszcze znajdę – odparłam z lekkim uśmiechem i mimowolnie zerknęłam w oczy Igorowi, który też się do mnie uśmiechnął.

Szybko oderwałam od niego spojrzenie i ruszyłam do baru. Oparłam się o ladę i złożyłam zamówienie u Krystiana.

– Co? Zaczepiają cię? – zapytał, nalewając piwa z kija.

Miał oczywiście na myśli trzech ratowników, z którymi przed chwilą gadałam. Często się zdarzało, że ten i tamten pozwalali sobie na więcej, niż powinni, i wtedy przejmował ich któryś z chłopaków, żeby dać im do zrozumienia, że mają się zachowywać. Czasami wystarczyła zmiana osoby do serwowania, innym razem kilka dosadniejszych słów.

– Nie, znam ich. Mieszkają w naszym pensjonacie. To ratownicy – wyjaśniłam.

– Okej. – Skinął głową i dodał posępnie: – Jeden z nich cały czas wypala ci dziurę w plecach.

Po karku przeszedł mi dreszcz, bo dobrze wiedziałam, który z nich mnie obserwował, a przynajmniej miałam taką nadzieję, że chodzi o tego konkretnego.

– Niech sobie patrzy – rzuciłam lekko.

Krystian się uśmiechnął i podał mi tacę z zamówieniem.

– Jakby coś, jestem tu – zapewnił, a ja potaknęłam.

Taaa, byłam świadoma tego, że Krystian na mnie leci. Nie żeby okazywał się w tym subtelny. Łatwo dało się to rozszyfrować, skoro on sam nie odrywał ode mnie oczu przez cały wieczór. Nie robił jednak w moją stronę żadnego ruchu, za co byłam mu wdzięczna. Być może on też potrafił odczytać niewerbalne sygnały. Lubiłam go, ale jako kolegę, poza tym był ode mnie sporo starszy i znał się z moim bratem, a to słaba kombinacja.

Nie szukałam romansów, a już na pewno nie w sezonowej robocie. Nie miałam nic przeciwko jednorazowej przygodzie, ale nie wtedy, gdy musiałam oglądać tego faceta na co dzień w pracy. To nigdy nie kończyło się dobrze.

Słalodem pomiędzy ludźmi dotarłam do stolika ratowników. Postawiłam przed nimi zamówione napoje.

– Może coś do jedzenia? – zaproponowałam.

– Trzy hamburgery w zestawach – odezwał się najsympatyczniejszy z ratowników.

– Są duże? Najemy się? – dopytał ten najpotężniejszy z ewidentnym niepokojem na twarzy.

Prawie się zaśmiałam.

– Jezu, Borys – jęknął zielonooki i zerknął na mnie pospiesznie.

Nie mogłam się powstrzymać i zatrzymałam na nim wzrok, chociaż nie powinnam była, bo to sprawiło, że oblało mnie gorąco.

– No co? Chcę wiedzieć, czy powinienem od razu coś domówić – odburknął jak małe dziecko.

– Spokojnie, są ogromne – zapewniłam z uśmiechem. – Prawie nikt nie jest w stanie zjeść całego zestawu – dodałam.

Facet o bardzo pasującym do niego imieniu zatarł ręce i napił się piwa.

– Idealnie. Umieram z głodu.

– No więc trzy burgery w zestawach. Czy coś jeszcze? – zapytałam i powiodłam po nich szybkim spojrzeniem.

– Na razie dzięki – odparł ten sympatyczny.

Weszłam do kuchni i złożyłam zamówienie u pana Kazimierza, naszego kucharza. Pan Kazimierz był przemiłym zaokrąglonym sześćdziesięcioletkiem, którego zawsze trzymały się suche żarty.

– Oła, wchodzi Irlandczyk do baru i zamawia trzy piwa...

Parsknęłam, chociaż nie zdążyłam poznać żartu, bo do kuchni weszła Angela, a za nią Patryk, nasz drugi barman. Pan Kazimierz musiał odłożyć to na później, ale obiecał, że jeszcze tego wieczora poznam puentę.

Wieczór mijał szybko, przewijało się sporo ludzi, a dopiero około jedenastej zaczęło się robić luźniej. Wbrew sobie cały czas zerkałam w stronę ratowników, którzy kilka minut temu uregulowali rachunek u Patryka, bo byłam zajęta, i zaczęli się zbierać do wyjścia. Dzieliliśmy się wszystkimi napiwkami, więc nie miałam problemu z zamianą stolików.

Wyszłam na patio, żeby posprzątać po klientach, i na moment zastygłam w miejscu, by przyjrzeć się księżycowi w idealnej pełni. Wisiał nad wodą, a ta odbijała srebrne światło falujące na tafli. To było piękne. Zrobiło się znacznie chłodniej. Idealnie.

– Ale się rozmarzyłaś... – powiedział Kris, który stanął obok mnie.

– Bo ładnie to wygląda – odparłam zawstydzona.

– Tak, słuchaj, dzisiaj muszę wyjść kilka minut wcześniej. Nie będę mógł cię odprowadzić. Masz z kim wracać?

– Tak, spoko, nie przejmuj się – zapewniłam, chociaż tak naprawdę Angela też nie mogła dzisiaj iść ze mną, bo wybierała się ze znajomymi do klubu, a Julka już skończyła zmianę.

Uznałam, że to bez znaczenia, bo powrót w takim jasnym świetle księżyca nie wydawał mi się szczególnie niebezpieczny. Może to złudne wrażenie, ale zostałam pozbawiona wyjścia. Ostatecznie zamykaliśmy z panem Kazimierzem i Patrykiem sami, ale bardzo szybko się obrobiliśmy. Byłam zmęczona, ale złapałam jakiś dziwny wiatr w żagle i poczułam,

że nie chcę jeszcze kłaść się spać. Nie miałam też ochoty na wyjście do klubu i kontakt z innymi ludźmi. Chciałam potańczyć, ale sama do mojej własnej muzyki.

Pożegnałam się z kolegami i ruszyłam w stronę jasno oświetlonej plaży. Nie zauważyłam żywego ducha, co bardzo mi odpowiadało. Odstawiłam swój plecak na piasek, zrzuciłam buty i zanurzyłam nogi w zadziwiająco ciepłej wodzie. Uruchomiłam Spotify i znalazłam *Kiss me Dermota Kennedy’ego*. Idealny kawałek, żeby potańczyć przy świetle księżycy. Założyłam słuchawki, zaczęłam poruszać biodrami i po chwili dałam się ponieść muzyce.

*So just kiss me the way  
that you would  
if we die tonight*

Stopami rozchłapywałam wodę i obracałam się wokoło, śpiewając i tańcząc, jakbym znalazła się na scenie w jakimś klubie. To było bardzo oczyszczające uczucie. Gdy nagle chciałam wykonać – w moim mniemaniu – seksowny piruet, uderzyłam w coś twardego. Otworzyłam szeroko oczy, przerażona. Przedemną stał wysoki facet. Zamarłam w bezruchu.

– To tylko ja. – Podniósł do góry ręce.

Igor.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

Ola, studentka psychologii, prowadzi wraz z mamą nadmorski pensjonat i pomaga w opiece nad spędzającą u nich wakacje bratanicą. Na początku lata w pensjonacie melduje się trzech młodych ratowników, Igor, Borys i Robert, którzy przez najbliższe miesiące mają czuwać nad bezpieczeństwem plażowiczów. Ola od razu wpada w oko Igorowi, ale ona woli zachować dystans. Przyjezdni chłopcy bowiem bywają utrapieniem dla miejscowych dziewczyn. Zwłaszcza ci przystojni i pewni siebie.

Tacy, o których trudno przestać myśleć.

Wbrew temu, co myśli o nim Ola, Igor nie jest beztroskim młodzieńcem, któremu w głowie jedynie dziewczyny i zabawa. Już nie. Jego przyjazd do nadmorskiej miejscowości ma drugie dno. O wiele mroczniejsze niż praca w roli ratownika. Musi odkryć tajemnicę, która odebrała mu najbliższą osobę. Czy Ola stanie się jego sprzymierzeńcem w tej misji, czy wręcz przeciwnie – przeszkodą uniemożliwiającą zemstę? Czy odgoni demony Igora i ochroni go przed utonięciem w białym szumie?

#### PATRONI MEDIALNI:



beyA  
beyA.pl

15+

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-8322-035-2



9 788383 220352

cena: 42,90 zł